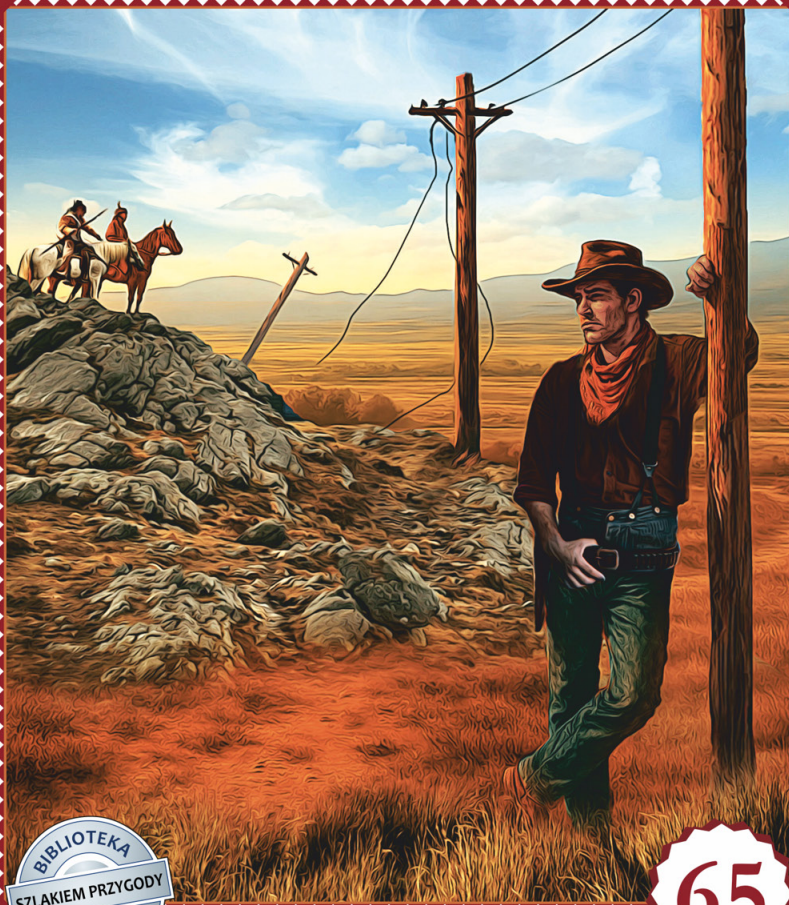




Zane Grey
WESTERN UNION



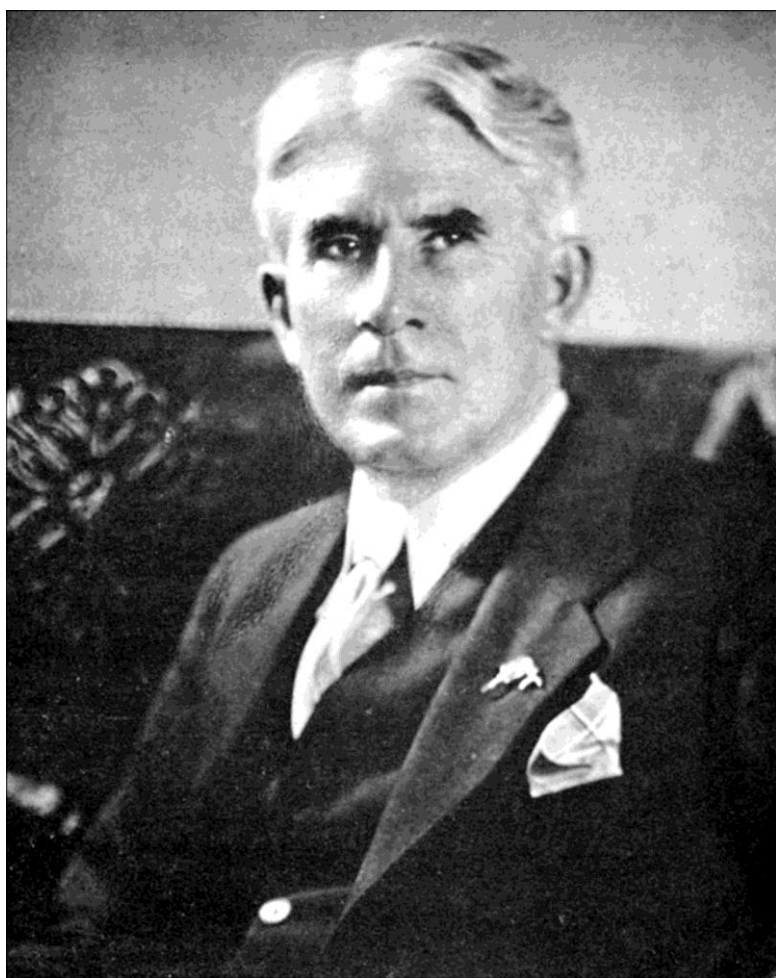
65

ISBN 978-83-67876-92-6

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Zane Grey

WESTERN UNION



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jeźdźców krainy purpurowej bylicy*. Powieść okazała się bestsellerem – po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni mieszkaniec równin*, a kariera Greya nabrała niepokonowanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.

Zane Grey



WESTERN UNION

Przełożyła i przypisami opatrzyła Joanna Hacking

**Sto siedemdziesiąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Sześćdziesiąty piąty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Western Union

© Copyright for the Polish translation by Joanna Hacking, 2026

11 ilustracji kolorowych: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2026

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Jolanta Spyrka
Korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2026

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-92-6

Prolog

To da się zrobić!

Nie tak dawno temu prezydent Abraham Lincoln¹ rzucił głębokie, nieprzeniknione spojrzenie na swego przyjaciela i gościa, Hiram Sibleya, szefa Western Union Telegraph Company².

– Sibley, twój pomysł brzmi wspaniale, ale jego realizacja jest nierealna, choć wizjonerska. Poproszę jednak Kongres o przyznanie środków.

Pomysł Sibleya polegał na przeciągnięciu drutu telegraficznego przez Wielkie Równiny i Góry Skaliste³ do Pacyfiku. Na dłu-

¹ *Abraham Lincoln* (1809-1865) – 16. prezydent Stanów Zjednoczonych, pełniący urząd w latach 1861-1865, wybrany jako kandydat Partii Republikańskiej; powszechnie uważany za jednego z najważniejszych prezydentów w historii USA ze względu na swoją rolę w zachowaniu jedności kraju i zniesieniu niewolnictwa; jego nominacja wywołała poważny kryzys polityczny, ponieważ wiele południowych stanów sprzeciwiało się jego antyniewolniczym poglądom; w 1861 r. wybuchła wojna secesyjna (ang. *American Civil War*), w czasie której Lincoln wydał Proklamację emancypacji (1863), uwalniającą niewolników w zbuntowanych stanach południowych; odegrał kluczową rolę w przyjęciu 13. poprawki, która formalnie zakazała niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych; kilka dni po zakończeniu wojny secesyjnej i zwycięstwie Unii, 14 kwietnia 1865 r., Lincoln został śmiertelnie postrzelony przez sympatyka Konfederacji, aktora Johna Wilkesa Bootha, w Teatrze Forda w Waszyngtonie.

² *Hiram Sibley* (1807-1888) – amerykański przedsiębiorca, pionier telegrafii w Stanach Zjednoczonych, filantrop; w 1851 r. założył New York and Mississippi Valley Printing Telegraph Company i zaczął pracować nad konsolidacją mniejszych firm telegraficznych w USA, co zaowocowało w 1856 r. powstaniem Western Union Telegraph Company, która w 1861 r. pod kierownictwem Sibleya, zakończyła budowę pierwszej transkontynentalnej linii telegraficznej w Stanach Zjednoczonych, łączącej Wschód i Zachód Wyrzeże; wkład w rozwój telegrafii odegrał kluczową rolę w rewolucji technologicznej XIX w.; *Western Union Telegraph Company* (ang.) – amerykańska firma, która odegrała kluczową rolę w rozwoju komunikacji na przełomie XIX i XX w.; zasłynęła z wprowadzenia pierwszej ogólnokrajowej sieci telegraficznej w Stanach Zjednoczonych.

³ *Wielkie Równiny* (ang. *Great Plains*) – rozległy obszar geograficzny w Ameryce Północnej, który obejmuje tereny leżące na zachód od rzeki Missisipi i na wschód od

go przed tym, nim się dowiedział, czy Kongres udzieli pomocy i czy jego współpracownicy zaakceptują taki projekt, Sibley posłał po swego głównego inżyniera, Edwarda Creightona¹, który dopiero co wrócił z rocznej podróży do Kalifornii².

– Proszę. Spójrz na tę mapę – rzekł Creighton. – Ta linia to Oregon Trail³. Ruszemy wzdłuż niej. Swego czasu rozmawiałem z ranczerami⁴, żołnierzami, łowcami bizonów⁵, jeźdźcami

Gór Skalistych; w Stanach Zjednoczonych rozciągają się na takie stany jak: Teksas, Oklahoma, Kansas, Nebraska, Dakota Południowa, Dakota Północna, Montana i Wyoming; w Kanadzie pokrywają części prowincji Alberta, Saskatchewan i Manitoba; charakteryzują się płaskim lub lekko falistym terenem z niewielką liczbą drzew i klimatem kontynentalnym, z gorącymi latami i mroźnymi zimami; w XIX w. Wielkie Równiny były zamieszkiwane przez rdzennych Amerykanów, takich jak Lakota czy Komancze, którzy polowali na bizony; po rozwoju kolei i ekspansji osadników europejskich obszar ten stał się ważnym regionem rolniczym; oryginalnie był jednak pokrytą trawami prerią, której fauna obejmowała ptaki drapieżne oraz liczne gatunki ssaków, np. bizony i jelenie; *Góry Skaliste* (ang. Rocky Mountains, Rockies) – potężny łańcuch górski w Ameryce Północnej, rozciągający się na długość ok. 4800 km, od kanadyjskiej prowincji Kolumbia Brytyjska po stany USA, takie jak Montana, Wyoming, Kolorado i Nowy Meksyk

¹ Edward Charles Creighton (1820-1874) – wybitny pionier biznesu w początkach istnienia miasta Omaha w Nebrasce; starszy brat Johna A. Creightona; Creightnowie byli odpowiedzialni za założenie wielu instytucji, które odegrały kluczową rolę w rozwoju Omaha.

² Kalifornia (ang. California) – stan w zachodniej części USA, nad Pacyfikiem.

³ Oregon Trail (ang.) – historyczny szlak migracyjny, którym w XIX w. przemieszczały się tysiące osadników z regionów wschodnich i środkowo-zachodnich Stanów Zjednoczonych na zachód, do dzisiejszych stanów Oregon, Waszyngton i Kalifornia; jeden z najważniejszych szlaków prowadzących do zachodnich terytoriów USA.

⁴ Ranczer (ang. rancher) – właściciel rancza, farmer.

⁵ Bizon amerykański (ang. buffalo) – tzw. żubr amerykański; jeden z symboli Ameryki Północnej; zwierzę roślinożerne; największy lądowy ssak na kontynencie o masywnej sylwetce z dużym, szerokim tułowiem i gęstą, brązową sierścią, która jest grubsza na przedniej części ciała, szczególnie wokół sporej głowy, podtrzymywanej przez potężne mięśnie i kości tworzące charakterystyczny garb na grzbiecie; kiedyś występował na ogromnych obszarach Ameryki Północnej, od Kanady po Meksyk, głównie na terenach Wielkich Równin; odgrywał kluczową rolę w kulturze i życiu rdzennych plemion Ameryki Północnej, takich jak Lakota czy Szoszoni – dla wielu z nich był podstawowym źródłem pożywienia i materiałów na odzież, schronienie (z jego skóry robiono tipi) oraz narzędzia (z kości). Polowanie na bizony miało również wymiar duchowy i powiązania z obrzędami religijnymi.

Pony Express¹. Rozmawiałem z mormonami². Są tysiące wrogich Indian, miliony bizonów, setki mil³ prerii bez drzew na słupy telegraficzne. To zadanie wydaje się niewykonalne, a jednak da się je zrealizować.

Kongres przeznaczył na budowę owej linii telegraficznej jedynie czterysta tysięcy dolarów, co było ogromnym rozczarowaniem dla Sibleya i Creightona.

A jednak budowa telegrafu łączącego Wschód z Zachodem zaczęła postępować naprzód. Dziś rozpoczyna się zawieszanie cienkiego żelaznego drutu na zachód od Omaha⁴ pod nadzorem samego Creightona.



¹ *Pony Express* (ang.) – usługa pocztowa działająca w Stanach Zjednoczonych w latach 1860-1861, zapewniająca szybki transport listów i przesyłek, przewożonych przez jeźdźców na koniach na odcinku ok. 3,2 tys. km, między Wschodnim a Zachodnim Wybrzeżem kraju; Pony Express skracał czas dostarczania poczty (do ok. 10 dni na przesyłkę) dzięki systemowi stacji pośrednich, rozmieszczonych co 10-15 mil, gdzie zmieniano konie; co kilkaset mil zmieniali się również jeźdźcy – wcześniej dostarczanie poczty zajmowało tygodnie drogą morską lub powozami; krótką działalność osławionego Pony Express zakończył rozwój telegrafu, który pozwalał na niemal natychmiastowe przysyłanie wiadomości na duże odległości.

² *Mormoni* – grupa religijna, której przedstawiciele wyznają specyficzną formę chrześcijaństwa, zapoczątkowaną przez proroka Josepha Smitha w Stanach Zjednoczonych w pierwszej połowie XIX w.; oficjalnie członkowie Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, który powstał w 1830 r.

³ *Mila* (ang. *mile*) – jednostka miary długości, stosowana w różnych systemach miar, przede wszystkim w anglosaskim, wynosząca 1,609 km

⁴ *Omaha* – miasto w Nebrasce (w środkowej części Stanów Zjednoczonych), nad rzeką Missouri, założone w 1854 r., w czasie gwałtownej ekspansji na Zachód USA; zaczęła rosnąć wraz z rozwojem kolei, szczególnie Kolei Transkontynentalnej, stając się ważnym ośrodkiem handlowym i transportowym, przez co odegrała ważną rolę w rozwoju USA; w czasach Dzikiego Zachodu jeden z istotnych punktów startowych szlaków migracyjnych, takich jak Oregon Trail czy California Trail.

Rozdział I

Był letni dzień 1861 roku, gdy w Omaha, w Nebrasce, u kresu swych sił i możliwości wsiałem do dyliżansu jadącego na zachód.

Schowałem do kieszeni wycinek z gazety, który zainspirował mnie w chwili, gdy najbardziej tego potrzebowałem. W wieku dwudziestu czterech lat wszystko, czego próbowałem, jakoś mi nie wychodziło. Od dawna miałem wątpliwości, czy w ogóle się do czegokolwiek nadaję.

Mój ojciec chciał, żebym spróbował z prawem – poszedłem więc na rok na Harvard¹, ale potem to rzuciłem. Przez następny rok próbowałem studiować medycynę. Bez powodzenia. Medycyna mnie interesowała, ale nie potrafiłem siedzieć w domu i się uczyć. Te dwa lata frustracji pokazały mi jednak, co było nie tak. Ambicje moich rodziców i krewnych, by znaleźć mi zawód – a jeśli nie zawód, to branżę – miały wpływ na mnie i na to, czego naprawdę pragnąłem.

Musiałem się wyrwać z Bostonu² i Nowej Anglii³ – gdzieś na otwartą przestrzeń, najlepiej na Zachód, gdzie stałbym się

¹ Uniwersytet *Harvarda* (ang. Harvard University) – jeden z najbardziej prestiżowych i renomowanych uniwersytetów na świecie, znajdujący się w Cambridge, niedaleko Bostonu w stanie Massachusetts; założony w 1636 r., najstarszy uniwersytet w Stanach Zjednoczonych.

² *Boston* – stolica i największe miasto stanu Massachusetts; jedno z najstarszych miast w USA, założone w 1630 r. przez purytańskich osadników.

³ *Nowa Anglia* (ang. New England) – region w północno-wschodniej części USA, składający się z sześciu stanów: Connecticut, Maine, Massachusetts, New Hampshire, Rhode Island i Vermont; jego nazwa pochodzi od purytańskich osadników, którzy w XVII w. nazwali nowe tereny na cześć swojej ojczyzny, Anglii; jeden z pierwszych obszarów kolonizowanych przez Europejczyków na obszarze dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

wolny. Moja matka była Szkotką i mówiła, że jestem jak jeden z jej braci, ten, który zamieszkiwał górzyste tereny Szkocji, kochał wzgórze, rzeki oraz walki i zmagania swego własnego kraju.

Poza tym, że byłem postawny, silny i energiczny, nie miałem żadnych kwalifikacji, o których bym wiedział, do pionierskiego życia na Zachodzie. Niemniej jednak to Zachód coraz częściej mnie wzywał.

Wówczas niepokoiły mnie pogłoski o wojnie między Północą a Południem. Teraz wojna to już fakt. Mój ojciec był południowcem z urodzenia i żywił silną niechęć do jankesów¹.

Nie uważałem, że okazałbym się złym żołnierzem, bo było coś takiego w wolnym życiu żołnierza, pełnym przygód i niebezpieczeństw, co mnie pociągało. Mimo tego, gdy moich rodziców podzieliła kwestia wojny secesyjnej², wydawało się, że ja znalazłem się między młotem a kowadłem. Tak oto moje niezadowolenie i niedola skłoniły mnie do podjęcia długiej podróży na Zachód.

Gdy rozejrzałem się wokół, nagle stwierdziłem, że byłem pierwszą osobą, która dotarła do dylizansu. Właściwie nawet samego woźnicy nie było nigdzie w pobliżu. W końcu zaczęli się schodzić pozostali pasażerowie.

Pojawiło się dwóch żołnierzy, jeden z nich był sierżantem – ogorzali, twardzi młodzi ludzie, którzy najwyraźniej dochodzili do siebie po zbyt bliskiej zażyłości z butelką. Był tam mężczyzna o bystrym spojrzeniu – wziąłem go za ranczera – i kobieta

¹ *Jankes* (ang. *Yankee*) – tu: Amerykanin ze stanów północnych.

² *Wojna secesyjna* (ang. *Civil War*) – tzw. wojna domowa w Stanach Zjednoczonych, jeden z najważniejszych konfliktów w historii kraju, toczony w latach 1861-1865 pomiędzy stanami Północy (Unią) a stanami Południa (Skonfederowanymi Stanami Ameryki, czyli Konfederacją), które odłączyły się od Unii; do głównych przyczyn konfliktu należały: niewolnictwo (to kluczowy punkt sporu), prawa stanów, taryfy i handel oraz wzrost różnic społeczno-ekonomicznych; w czasie wojny zginęło ponad 600 tys. żołnierzy, co czyni wojnę secesyjną najkrwawszym konfliktem w historii USA

o obfitych kształtach, najwyraźniej jego żona. Kolejny pasażer wdrapał się na siedzenie woźnicy. Ostatni, ze względu na jego strój i zaczerwienioną twarz, mógł być zamożnym kupcem. Zajął miejsce obok mnie.

Gdy już mieliśmy się wytoczyć na otwartą przestrzeń, podniosła się wrzawa przyjaznych, żegnających nas głosów. Bez wątpienia niektórzy z życzliwych znali pasażerów, ale z fali dźwięków, która się podniosła, mogłem wywnioskować, że odjazd tego skrzypiącego powozu stanowił wydarzenie dla mieszkańców miasta; i miałem wrażenie, że część tych pożegnań, dźwięczących mi w uszach, była skierowana do mnie.

Platte¹ płynęła po naszej lewej stronie. Kanał rzeki był szeroki i składał się z dwóch wartkich, błotnistych strumieni przedzielonych piaszczystymi łachami. Na niskich brzegach rosły wierzby i topole, które dopiero co zaczęły się okrywać świeżą zielenią. Później mój wzrok padł jeszcze na wspaniałą, szeroką rzekę Missouri² o wezbranym brzegu. Jej silny, kotłujący się nurt unosił liczne kawałki dryfującego drewna. W oddali dostrzegłem parowiec z kołem rufowym.

Wkrótce straciliśmy z oczu rzekę i miasto, tocząc się szybko po twardej, ubitej drodze, która – jak się zdawało – biegła przez środek kilku innych dróg. W rzeczywistości była to szeroka przestrzeń, może stu jardów³, pocięta na kilka stóp⁴ w głąb przez

¹ *Platte* (ang. *Platte River*) – dopływ Missouri i ostatecznie część dorzecza Missisipi w Stanach Zjednoczonych; rzeka składająca się z dwóch głównych odnóg: Północnej *Platte* (*North Platte River*) oraz Południowej *Platte* (*South Platte River*), które łączą się w stanie Nebraska, tworząc główną rzekę *Platte*.

² *Missouri* (ang. *Missouri River*) – najdłuższa rzeka w Stanach Zjednoczonych (o długości 3767 km); jeden z głównych dopływów rzeki Missisipi; ważny szlak transportowy i komunikacyjny dla rdzennych Amerykanów.

³ *Jard* (ang. *yard*) – jednostka długości w systemie miar imperialnych, stosowana głównie w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, równa 91,44 cm.

⁴ *Stopa* (ang. *foot*, l. mn. *feet*) – jednostka długości w systemie imperialnym, stosowana głównie np. w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, równa 30,48 cm.



W oddali dostrzegłem parowiec z kołem rufowym.

niekończący się strumień kół, które przez nią przejechały. Po obu stronach naszej ubitej drogi widoczne były ich stare i świeże ślady.

Niebawem wywnioskowałem, że wybraliśmy rozwidlenie Overland Trail¹, które należało do Oregon Trail i przez lata stanowiło arterię z Independence w stanie Missouri² do Oregonu³. Wjechaliśmy na główny Oregon Trail przy Grand Island⁴.

Siedziałem przy otwartym oknie, przez które obserwowałem wijący się strumień i płaską szarą równinę ciągnącą się w nieskończoność. Od czasu do czasu mijaliśmy rancza i rozproszone bydło, ale byliśmy na granicy odludzia. Widziałem dzikie kaczki na strumieniu, niebieską czapłę⁵ stojącą na mieliźnie, kopce piżmaków⁶ wystające z wody, coraz większą liczbę zajęcy

¹ *Overland Trail* (ang.) – szlak dyliżansów i wozów na amerykańskim Zachodzie; historyczna trasa, którą w XIX w. (głównie od lat 40. do 60.) podróżowali osadnicy, poszukiwacze złota, traperzy i inni migranci, przemieszczający się ze wschodniej części Stanów Zjednoczonych na zachód, szczególnie do Kalifornii, Oregonu i Utah; kluczowa droga w czasach tzw. gorączki złota i ekspansji na Zachód.

² *Missouri* – tu: stan w centralnej części Stanów Zjednoczonych; graniczy z ośmioma innymi stanami: Iowa na północy, Illinois, Kentucky i Tennessee na wschodzie, Arkansas na południu oraz Oklahoma, Kansas i Nebraską na zachodzie; przez wschodnią część Missouri przepływa rzeka Missisipi, która tworzy jej naturalną granicę.

³ *Oregon* – stan położony na północno-zachodnim wybrzeżu USA, graniczący na zachodzie z Pacyfikiem, na północy ze stanem Waszyngton, na południu z Kalifornią, a na wschodzie z Idaho; w XIX w. jeden z głównych celów amerykańskich pionierów, którzy podróżowali Oregon Trail w poszukiwaniu lepszych warunków życia.

⁴ *Grand Island* – miasto położone w stanie Nebraska.

⁵ *Czapla niebieska* (ang. *blue heron*) – duży ptak brodzący z rodziny czaplowatych; występuje głównie w Ameryce Północnej i osiąga do 1,2 m wysokości, z rozpiętością skrzydeł do ok. 2 m; ma charakterystyczne niebieskoszare pióra, długie nogi, długi, ostry dziób i białą głowę z czarnym paskiem, który znajduje się nad oczami i rozciąga się do tyłu w postaci „czubka” z piór.

⁶ *Piżmak* (ang. *muskrat, musquash*) – gatunek gryzonia z rodziny chomikowatych; zwierzę średniej wielkości, występujące głównie w Ameryce Północnej; przypomina nieco szczura, ale ma bardziej pękaty korpus. Dorosły osobnik osiąga długość ciała ok. 20-35 cm, a jego ogon ok. 18-28 cm. Jego futro jest zwykle brunatnoszare. Żyje w pobliżu wód, jest aktywny zarówno w dzień, jak i w nocy; jest świetnym pływakiem; piżmak miał znaczenie ekonomiczne, ponieważ dawniej był intensywnie łowiony dla swojego futra, które jest cenione w przemyśle odzieżowym.

i królików, a od czasu do czasu zwierzęta z gęstymi, szarymi ogonami o wyraźnie wilczym wyglądzie.

Patrzyłem i patrzyłem, nie nużąc się szarą monotonią scenarii. Nie umknęła mi też żadna z trywialnych rozmów pasażerów. Wkrótce siedzący obok mnie mężczyzna rzucił kilka uprzejmych uwag na temat pogody i przyjemnej podróży, a na koniec zapytał, dokąd jadę.

– Jadę pracować dla Western Union – odparłem.

– Naprawdę?! To bardzo długa podróż. Ja sam jadę, żeby rzucić okiem na tę pracę. Nazywam się Williamson.

– Miło mi pana poznać. Nazywam się Wayne Cameron, z Bostonu.

– Tak myślałem – odpowiedział ten drugi ze śmiechem. – Mieszkańcy Nowej Anglii są raczej łatwi do rozpoznania. Ja jestem z Nowego Jorku. Jaką pracę otrzymałeś w firmie telegraficznej?

– Jeszcze żadnej nie dostałem... ale mam nadzieję, że jąkaś dostanę.

– Nie będziesz miał z tym większych problemów. Z powodu wojny i wszystkiego innego i tak trudno im znaleźć ludzi.

Zaczęliśmy rozmawiać, a ja starałem się być tak miły, jak to tylko możliwe. Williamson powiedział między innymi, że prace budowlane rozpoczęły się już u wybrzeży Pacyfiku pod przewodnictwem inżyniera o nazwisku Gamble – ma on zbudować linię telegraficzną, kierując się na wschód, i spotkać się z ekipą Edwarda Creightona, która do tego czasu rozciągnęła swój cienki, żelazny drut niemalże do Gothenburga.

Po chwili Williamson kontynuował rozmowę.

– Cameron, czy słyszałeś o podróży Creightona przez równiny i góry, by studiować ziemię i warunki?

– Tak, czytałem o tym – odpowiedziałem. – Uważam, że to był wielki wyczyn.

– Nawet więcej. Nigdy nie spotkałem Creightona i bardzo się cieszę, że wkrótce się to stanie. Podobno to wspaniały człowiek. Niektóre z tych linii, które założył na Wschodzie, nie były prostymi zadaniami, ale tamta zachodnia idea wykracza poza ludzkie pojęcie. Słyszałem, jak Hiram Sibley opowiadał o wyprawie Creightona przez przełęcz na wybrzeże. To naprawdę nie do opisania. Przejechał sześćset lub siedemset mil konno przez jedno z najdzikszych terenów. Zupełnie sam i bez pewności, czy zmierza we właściwym kierunku. Część tej podróży odbyła się w środku zimy przez Humboldt Valley. Silne wiatry smagały piachem, pyłem alkalicznym i śniegiem w oczy samotnego jeźdźca, aż prawie oślepl. Trzy razy zesła mu skóra z twarzy. Kiedy przybył do Carson City, przypominał bardziej martwego niż żywego. To cud, że nie zginął! Ale jego doskonała kondycja i niezłomna wola pozwoliły mu wytrwać do końca.

Często się odwracałem, by rzucić okiem na linię telegraficzną, na którą Williamson zwrócił mi uwagę już dużo wcześniej. Lśniące, żółte, gładkie słupy i pojedyncza nić drutu ciągnąca się w kierunku zachodnim – wydawały się tak małe, tak nieistotne, tak kruche, a jednak miały unieść ogromny ciężar szybkiej komunikacji między Wschodem a Zachodem. A wszystko było zawarte w tym cienkim drucie – magiczna wiadomość od przyjaciela Hiram Sibleya, czyli wynalazcy Morse’a¹.

O zachodzie słońca dotarliśmy do przestronnego domu na ranczu, gdzie spędziłyśmy noc.

Już wcześniej rano znów toczyliśmy się na zachód wzdłuż Oregon Trail, mając czasem w zasięgu wzroku rzekę Platte, z widokiem na rozległe, coraz większe odcinki prairii między

¹ Samuel Morse (1791-1872) – amerykański wynalazca, artysta malarz i pionier w dziedzinie telegrafii; najbardziej znany jako twórca tzw. alfabetu Morse’a, umożliwiającego przekazywanie informacji za pomocą sygnałów w postaci kropek i kresek (krótkich i długich sygnałów) i współtworzącego system telegraficzny, który w XIX w. zrewolucjonizował komunikację na świecie.

ranczami. Wreszcie ktoś mi powiedział, że wkrótce w ogóle nie będzie już żadnych rancz.

Tego wieczora, po tym, jak się zatrzymaliśmy – tym razem we wiosce, gdzie znajdował się sklep, saloon¹ i kilka chat – wykonałem przyjazny gest w stronę woźnicy dyliżansu. Poprosiłem go, by się ze mną napił i niebawem okazało się, że jest całkiem przyjazny i niezwykle interesujący. Pasażer, który jechał na siedzeniu obok niego, wysiadł na tej stacji, więc od razu spytałem, czy mogę zająć to miejsce.

Jim Hawkins (bo tak nazywał się woźnica) jeździł dyliżansami od dziesięciu lat, więc po prostu rozkoszowałem się myślą, jaką okaże się kopalnią wiedzy i jakie możliwości będę miał ja, siedząc obok niego przez długie godziny.

W środku nocy, gdy leżałem i nie mogłem zasnąć, usłyszałem osobliwe, melodyjne gęganie dzikich gęsi lecących na północ.

Następnego dnia jechałem wysoko na siedzeniu woźnicy w jasnym słonecznym świetle. Preria rozciągała się na zachód, tak samo szara i mglista jak wcześniej, ale stopniowo stawała się dziką, nienadającą się do zamieszkania krainą. Zwróciłem uwagę woźnicy na chmury kurzu na horyzoncie i długą, nieregularną linię biegnącą nisko przy ziemi – była dla mnie czymś nowym.

– No, młody człowieku – odpowiedział. – Z twoimi oczami jest wszystko w porządku. Bystre oczy, gdy nauczą się rozpoznawać, co widzą, pewnego dnia uratują ci życie. To twoja pierwsza karawana wozów. I to całkiem sporo. Zobaczysz dużo taborów stąd do Fortu Kearney²; jeśli okaże się to bardzo duży tabor, będzie miał eskortę żołnierzy.

¹ *Saloon* – bar z wyszynkiem na Dzikim Zachodzie.

² *Fort Kearney* (inaczej Fort Keamy) – fort wojskowy i punkt zaopatrzeniowy w dzisiejszym stanie Nebraska w USA, założony w 1848 r. przy rzece Platte, na skrzyżowaniu ważnych szlaków migracyjnych, takich jak Oregon Trail, California Trail i Mormon Trail; odegrał kluczową rolę w ochronie pionierów, osadników, poszukiwaczy złota i handlarzy, którzy w latach 40. i 50. XIX w. migrowali na Zachód, szukając nowych ziem, złota i lepszego życia, choć zagrażały im m.in. ataki tubylcze i trudne warunki terenowe.

– Sierżant, który jedzie z nami, powiedział mi, że prace nad budową telegrafu będą musiały być kontynuowane pod okiem żołnierzy. Czy to konieczne ze względu na Indian?

– Głównie, powiedziałbym – odparł woźnica. – Czejeni¹ znów stanowią zagrożenie, ale nie są tak źli jak Siuksowie². Spotkasz ich na zachód od Fortu Laramie³ i wzdłuż Sweetwater⁴, i w górę w kierunku South Pass⁵. Ci Indianie zjeżdżają z gór Wind River, napadają jak Komancze⁶ i wracają na swoje wzgórza, gdzie za-

¹ Czejeni (ang. Cheyenne) – rdzenne plemię północnoamerykańskie z grupy plemion znanych jako Indianie Wielkich Równin (ich kultura, życie i historia są ściśle związane z tym regionem); odegrali ważną rolę w historii Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza w kontekście konfliktów z amerykańskim rządem i osadnikami w XIX w.

² Siuksowie (ang. Sioux) – zbiorcza nazwa dla jednej z największych grup rdzennych ludów Ameryki Północnej, zamieszkujących przede wszystkim tereny dzisiejszych Stanów Zjednoczonych; odegrali kluczową rolę w historii kontaktów rdzennych Amerykanów z białymi osadnikami i armią amerykańską w XIX w.; tradycyjnie koczownicy Wielkich Równin, żyjący głównie z polowania na bizony.

³ Fort Laramie – historyczny fort wojskowy w dzisiejszym stanie Wyoming, na skrzyżowaniu rzek Laramie i Północnej Platte; odegrał kluczową rolę w ekspansji zachodniej Stanów Zjednoczonych w XIX w.; zbudowany w 1834 r., początkowo służył jako placówka handlowa dla traperów i handlarzy futer, ale z czasem stał się ważnym punktem dla amerykańskich wojsk, podróżników, pionierów.

⁴ Sweetwater (ang. Sweetwater River) – rzeka w Stanach Zjednoczonych, przepływająca przez stany Wyoming i Nebraska; jeden z dopływów rzeki Platte.

⁵ South Pass – szeroka, nisko położona i łagodnie nachylona przełęcz w górach w południowo-zachodniej części Wyoming (USA); jedna z najważniejszych przełęcz w historii amerykańskiej ekspansji na zachód, umożliwiająca łatwe przekroczenie Gór Skalistych, głównej bariery geograficznej oddzielającej wschodnią i zachodnią część kontynentu.

⁶ Komancze (ang. Comanche) – jedno z najbardziej wpływowych plemion rdzennych Amerykanów; zamieszkiwali głównie obszary dzisiejszego Teksasu, Oklahoma, Nowego Meksyku i północnego Meksyku (tzw. Comancheria); znani ze swojego koczowniczego trybu życia, umiejętności jeździeckich, a także waleczności, przez długi czas stanowili poważne zagrożenie dla innych plemion oraz białych osadników; pierwotnie wywodzili się z grupy plemion Szoszonów, zamieszkujących rejony dzisiejszych stanów Wyoming i Idaho; w XVII w. rozpoczęli migrację na południe, prawdopodobnie w poszukiwaniu lepszych terenów łowieckich i dostępu do koni, kluczowych dla ich przetrwania i ekspansji. Osiedlili się na rozległych obszarach Wielkich Równin, gdzie prowadzili koczowniczy tryb życia ściśle związany z końmi oraz polowaniami na bizony – uważano ich za najlepszych jeźdźców wśród rdzennych Amerykanów.

den żołnierz nie może ich znaleźć. Wszystkie plemiona czerwonoskórych czują urazę do białych i nic w tym dziwnego. A pewnego dnia, może za dziesięć lat lub więcej, gdy biali zaczną wybić bizona dla ich skór, wszyscy Indianie od miejsca, gdzie żyją Dakotowie¹, do Rio Grande² powstaną, by walczyć jak szatani, którymi zresztą są. Bo bizona to ich źródło utrzymania.

– Ale czytałem, że bizonów są miliony – rzekłem. – Z pewnością polowanie dla mięsa i skór nie miałoby aż tak wielkiego wpływu na ich liczebność, by rozwścieczyć Indian.

– Myślę, że jednak miałoby – odparł Hawkins, potrząsając szpakowatą głową. – Bizona, jelenie i cała zwierzyna wystarczyłyby na wieki, gdyby polowali na nią tylko Indianie. Biali ludzie to w większości marnotrawcy. Są chciwi, zachłanni, nie przebiegają w środkach i nie mają skrupułów. Znałem raz starego Indianina, który powiedział, że biali ludzie to stado wieprzów.

– Ale istnieje coś takiego jak postęp – zaprotestowałem. – Ameryka musi się rozwijać. Fala imperium jest skierowana w stronę Zachodu. Najpierw przybyli hiszpańscy misjonarze, potem handlarze futer, a jeszcze później odkrywcy, po nich pionierzy³ i poszukiwacze złota, a teraz mamy linię telegraficzną. Skoro takie przedsięwzięcie się powiodło, to z pewnością na kontynencie pojawi się kolej żelazna.

– Jasne, synu, masz rację – odpowiedział Hawkins. – Taki stan rzeczy jest równie prawdziwy, jak to, że tutaj siedzimy, ale dana sytuacja nie ma nic wspólnego z faktem, że był to kraj czer-

¹ *Dakotowie* – grupa rdzennych plemion amerykańskich, tradycyjnie zamieszkujących obszary dzisiejszych stanów Minnesota, Północna Dakota, Południowa Dakota oraz części Montany i Nebraski; jedna z trzech głównych grup w ramach większej konfederacji Siuksów, obok Lakota i Nakota.

² *Rio Grande* (hiszp. „Wielka Rzeka”) – jedna z najdłuższych rzek na kontynencie o całkowitej długości wynoszącej ok. 3050 km, przepływająca przez Stany Zjednoczone i Meksyk.

³ *Pionier* – osadnik zagospodarowujący nowe tereny.

wonoskórego człowieka i że został zdeprawowany przez alkohol oraz ograbiony. I będzie okradany do czasu, aż się zbuntuje i zacznie walczyć z przytłaczającymi, przemożnymi siłami i przeciwnościami, aż wszystko, co z niego pozostanie, zostanie wygnane z powrotem na pustkowia Zachodu. Jak to się widzi Bogu, tego nie wiem, ale w moich oczach sytuacja nie wygląda dobrze.

Ta rozprawa starego woźnicy dyliżansu rzuciła mi zupełnie nowe światło na Indian Ameryki.

Posuwaliśmy się szybko, by dogonić tabor. Zanim do niego dotarliśmy, skorzystałem z okazji – przed nami był zakręt drogi – i policzyłem duże szkunery preriowe¹. Było ich sześćdziesiąt trzy. Ciągnęły je woły robocze. Po obu ich stronach jechali mężczyźni na koniach. Te wielkie wozy wydawały się żywe i toczyły się naprzód z duchem, który charakteryzował podróżujących nimi osadników. Wyglądały jak potężne łodzie z szerokimi, brązowymi, płóciennymi dachami, nasadzone na ogromne koła. Tu i ówdzie zdarzały się jednak wozy bez brezentowej plandeki. Niektóre znalazły się po jednej stronie szerokiego Oregon Trail, a inne po drugiej.

Gdy je dogoniliśmy, Hawkins nieco powstrzymał energiczny krok swych zaprzęgów, ale konie i tak były na tyle szybkie, by minąć szkunery preriowe, jakby te stały nieruchomo. Ogromne woły kołysały się w tę i tamtą stronę z pochylonymi łbami. Sieńdzenia dla woźniców, poza samym woźnicą, wypełniały dzieci i młodzi ludzie, tu i ówdzie widać było kobiety.

Gdy przejeżdżaliśmy obok nich z Hawkinsem, kilku pasażerów dyliżansu wydawało radosne okrzyki, a osadnicy odwzajemniali wyrazy życzliwości i powodzenia. W niemal każdym okrągłym otworze pod płóciennym zadaszeniem pojawiła się

¹ *Szkuner preriowy* (ang. *prairie schooner*) – potocznie wóz osadników używany w XIX w. podczas wędrówek przez prerie i dzikie tereny Ameryki Północnej; pojazd o dużym, zakrzywionym dachu przypominającym żagiel statku; nazwany ze względu na podobieństwo do statków morskich, takich jak szkunery.

przynajmniej jedna ożywiona twarz młodej kobiety. Jeźdźcy na koniach, przeważnie podróżujący samotnie, byli krzepkimi mężczyznami w prostych strojach pionierów. Pomachałem kapeluszem do dzieci.

Gdy mijaliśmy jeden z dużych preriowych szkunerów, dostrzegłem ładną dziewczynę siedzącą obok rosnącego, siwowłosego woźnicy. Nasze spojrzenia się spotkały, kiedy jechaliśmy obok siebie przez moment, i poczułem, że szybko nie zapomnę tych oczu ani połyskujących, rozwianych włosów. Zamachałem do niej moim sombrero¹, a ona się uśmiechnęła i uniosła do góry rękę w rękawiczce. Potem zniknęła mi z oczu, a kolejne wozy zajmowały miejsce tego, którym podróżowała. Patrzyłem i patrzyłem, ale mój wielki entuzjazm jakoś się wyczerpał. Chciałbym, żeby dylizans jechał obok tamtego konkretnego preriowego szkunera przez resztę dnia. Ale my potoczyliśmy się dalej.

Poczułem ukłucie w sercu, gdy uświadomiłem sobie, że była to dziewczyna, którą mógłbym polubić i której na pewno już nigdy nie zobaczę.

Z przodu taboru znalazło się więcej jeźdźców na koniach, a co najmniej pół tuzina prowadzących karawanę przewiesiło przez siodła długie strzelby.

Minęliśmy tabor i znów stanęliśmy twarzą w twarz z bezkresną równiną. Od czasu do czasu spoglądałem za siebie, a gdy karawana w końcu zniknęła w oddali, westchnąłem i przestałem się oglądać. Ta dziewczyna wzbudziła moje zainteresowanie. Nieprędko zapomnę błysk jej oczu, rumieniec na policzkach, blask kasztanowych włosów i ten przyjacielski gest dłoni.



¹ *Sombrero* – miękki kapelusz z szerokim rondem, noszony w Hiszpanii i krajach Ameryki Łacińskiej.

Rozdział II

W ciągu następnych kilku dni nic nie zastąpiło tamtego ekscytującego widoku taboru. Grand Island, gdzie dotarliśmy pewnej nocy po zmroku, wyglądało jak wszystkie inne przystanki w Nebrasce – tyle tylko, że było tam więcej budynków, więcej światła i więcej ludzi. W tamtym miejscu wstąpiliśmy na Oregon Trail, który był głębszy i szerszy.

Naszym następnym przystankiem okazał się Fort Kearney, gdzie wysiedli nasi pasażerowie-żołnierze. Miejsce to wyglądało tylko na koszary i poczułem się rozczerowany.

Jechaliśmy dalej na zachód od Kearney. Pewnego dnia zauważyłem ruchomy punkt wzdłuż drogi i słabe kłęby kurzu tak daleko, że nie mogłem stwierdzić, co to było.

– Woźnico, co nadjeżdża? – spytałem.

– No, jeśli się nie mylę – odpowiedział po długim mrużeniu oczu i wpatrywaniu się w drogę – to będzie Jed Schwartz. Zwykle tutaj mnie mija. Jeździ dla Pony Express.

Moja ciekawość wzrosła odpowiednio. Słyszałem o bohaterstwie jeźdźców Pony Express, a teraz jednego zobaczyłem. Szybko zmierzał w naszą stronę. W tym rozrzedzonym zachodnim powietrzu obiekty wydawały się dużo bliżej niż w rzeczywistości. To było niesamowite, jak ta ruchoma, czarna kropka się powiększała, aż wreszcie widoczny stał się słaby zarys konia i jeźdźcy. Gdy się zbliżyli, zobaczyłem, że koń jest wyciągnięty, biegnie nisko i równo, jego grzywa i ogon powiewają, a chusta jeźdźcy płonie w słońcu i unosi się za nim na wietrze.

Hawkins skierował swój zaprzęg w prawo i dał jeźdźcy Pony Express wolną drogę. Zbliżył się do nas jak wiatr, a gdy

przemknął obok – zbyt szybko, bym mógł cokolwiek wyraźnie zobaczyć – pomachał ręką w rękawiczce do Hawkinsa i krzyknął na powitanie. Woźnica odpowiedział równie krzepko.

Odwrociłem się, by popatrzeć na pędzącego drogą konia. Było to duże, smukłe zwierzę, szybkie i silne, a sposób, w jaki pokonywało dystans od dyliżansu, wydawał się czymś niezwykłym. To było moje pierwsze doświadczenie z galopującym koniem na Zachodzie – w miejscu, gdzie konie miały kluczowe znaczenie. Następnie w odpowiedzi na moje dociekliwe pytania Hawkins rzekł:

– Sądzę, że ta linia telegraficzna, którą zamierzasz pomóc zbudować, oznacza koniec Pony Express. Wielu naprawdę zacnych ludzi straci pracę, ale myślę, że będą zadowoleni, zachowując swe skalpy na głowie. Przewożą pocztę. To kosztuje pięć dolarów za uncję¹. Jeźdźcy zmieniają konie co jakieś dziesięć mil i utrzymują swe wierzchowce w biegu w stałej szybkości od jednej stacji do drugiej. Przejazd z Saint Jo² w Missouri na wybrzeże zajmuje im osiem dni. Znałem kilku naprawdę świetnych facetów z Pony Express. Jed Schwartz jest chyba najlepszy z nich wszystkich. To twardy, nieustraszony jeździec. Ma przy sobie dwa pistolety i mówię ci, że potrafi zrobić z nich użytek!

– Chciałbym zostać jeźdźcem Pony Express – powiedziałem niemal do siebie.

– No, jest już trochę za późno – odparł woźnica, który najwyraźniej mnie usłyszał. – Jeszcze będziesz miał dość jeżdżenia i strzelania w tym Western Union, jeśli się nie mylę.

Hawkins był na tyle gadatliwy, że mógł zaspokoić ciekawość nawet tak nienasyconego żółtodzioba jak ja. Zadałem mu z tysiąc

¹ *Uncja* (ang. *ounce*) – jednostka miary używana do wyrażania masy, objętości, a czasem także wartości metali szlachetnych, zależnie od kontekstu; istnieją różne rodzaje uncji w różnych krajach i systemach miar; uncja międzynarodowa to najczęściej stosowana jednostka masy w systemie anglosaskim, równa 28,35 g.

² *Saint Jo* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Teksas, w hrabstwie Montague.

pytań, ale jedno zostawiłem na koniec, gdy już lepiej mnie pozna. Brzmiało: jak się zachowywać, skoro już zdecydowałem się wyruszyć na Dziki Zachód? Jeszcze nie miałem odwagi, żeby go o to zapytać.

Następnego dnia dogoniliśmy mały tabor wozów transportujących słupy telegraficzne. Byłem podekscytowany, bo wiedziałem, że w końcu zbliżamy się do celu. Dotarliśmy do Gothenburga na długo po zmroku. Te same przyćmione żółte światła, ta sama zakurzona droga, te same chaty i namioty oraz wysokie, drewniane fasady, do których zdążyłem się już przyzwyczaić – zdawało się, że to wszystko tworzy miasto Gothenburg.

– Synu, to dość intensywne miejsce – ostrzegł Hawkins, tłumiąc śmiech. – Radziłbym ci się rozejrzeć, ale zachowuj się odpowiednio do sytuacji. Myślę, że obóz budowy jest gdzieś tutaj lub w pobliżu, a w miasteczku będzie gwaro. Najprawdopodobniej zostaniesz wzięty za żółtodzioba. Nie pozwól, by ktoś ci pyskował. Jeśli masz jakieś pieniądze, w jaskini hazardu Reda Pierce’a uważaj na rozwiązłe damy i trzymaj się z daleka od stołów gry.

Karczma, w której zatrzymali się podróżni, nie prezentowała się zachęcająco z zewnątrz, ale w środku okazała się wygodna – z czystym pokojem, łóżkiem i kolacją, której z pewnością oddałem sprawiedliwość. Dwie dziewczyny obsługiwały przy stołach, a jedna z nich była zdecydowanie ładna. Miała parę łobuzerskich oczu i nie bała się ich używać. Przypomniała mi dziewczynę z taboru, która się uśmiechnęła i zamachała do mnie. Zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że im bardziej będę się od niej oddalał, tym większy będzie mój żal.

Po kolacji pomyślałem, że przejdę się ulicą i rozejrzę. Gdy wychodziłem, Williamson zaczął mnie i rzekł z serdeczną satysfakcją:

– No, Cameron, jesteś na miejscu. Budowa i przenośny obóz Creightona są zaledwie kilka mil stąd. Miasteczko jest pełne robotników. Będę wypatrywać Creightona i powiem mu o tobie, jeśli przyjedzie do miasta.

Podziękowałem mu, a potem wyszedłem na deptak i próbowałem przyzwyczaić wzrok do gęstej ciemności, słabo oświetlonej żółtymi lampami. Pod karczmą stały konie pod wierzech, przywiązane do balustrad i kilka wozów, w tym jednego *buckboard*¹. Widziałem paru przechodniów, jednak nie tak wielu, by mogli stanowić przyczynę hałasu, który – jak się zdawało – dochodził z głównego placu na końcu ulicy.

Po chwili ruszyłem w tamtym kierunku i natknąłem się na barwny tłumek mężczyzn, dwudziestu lub więcej. Wśród nich byli hodowcy bydła i kowboje, jednak większość z nich wyglądała na robotników.

Trochę dalej dotarłem do dużego, prymitywnie wyglądającego gmachu, zbudowanego z desek, z szeroko otwartymi drzwiami, z których lały się jasne strumienie światła i przez które wchodzili i wychodzili ludzie. Nad tymi drzwiami zobaczyłem namalowany prostymi literami napis głoszący: „Red Pierce”.

Ze zdecydowanie przyspieszonym pulsem wkroczyłem do mojej pierwszej sali gier hazardowych na Zachodzie. Czegokolwiek się spodziewałem, okazało się to nieco inne od rzeczywistości, ale w żadnym razie się nie rozczarowałem. Była to ogromna sala z trzema wielkimi lampami wiszącymi pośrodku i długim barem po lewej stronie, przy którym stały dwa lub trzy rzędy mężczyzn, pijących, śmiejących się i rozmawiających ze sobą.

Po prawej stronie, naprzeciwko baru, znajdowało się kilka stolików, przy których siedzieli i stali gracze. Słyszałem grzechot

¹ *Buckboard* (ang.) – prosty, lekki wóz konny, popularny w Ameryce Północnej w XIX w. i na początku XX.

koła ruletki i dźwięczny brzęk monet, ale jeśli wśród graczy rozlegały się jakieś głosy, to zostały one zagłuszone przez głośniejszy zgiełk dochodzący z baru.

W tym momencie rozniósł się silny zapach piżma i spojrzałem na koniec sali, gdzie mężczyźni stali wokół pustawego parkietu, na którym tańczyło kilka par. Z tej odległości dziewczęta wyglądały atrakcyjnie. Miały białe twarze, szkarłatne usta i nagie ramiona.

Przy stołach do gry stali obserwatorzy; dołączyłem do nich, żeby popatrzeć przez chwilę. Gdy poczułem znudzenie, wróciłem na koniec sali i przyglądałem się tancerzom. Z pewnością wyróżniałem się w tym tłumie, ale zupełnie nie przychodziło mi to do głowy aż do momentu, gdy jedna z dziewcząt zwróciła na mnie uwagę w szczególny sposób, obrzucając mnie od stóp do głów bystrym spojrzeniem. Zirykowałem się tym, ale pamiętając radę Hawkinsa, postanowiłem się nie dać. Pożałowałem tej decyzji, gdy taniec się skończył i jedna z dziewczyn podeszła do mnie. Z pewnością nie przypominałem sobie, żeby ktoś kiedykolwiek tak na mnie patrzył.

– Chciałbyś zatańczyć? – zapytała dziewczyna, uśmiechając się do mnie. Miała miły głos i wcale nie wyglądała na *dancehall girl*¹.

– Tak – odparłem niepewnie – ale jestem tu zupełnie obcy, dopiero co przyjechałem i czuję się...

Gdy się zawahałem, ona wzięła mnie pod ramię i powiedziała:

– Jesteś obcy, w porządku, ale to nic. Obcy przyjeżdżają tu każdego dnia. Zatańczmy. Zaraz sprawię, że poczujesz się jak w domu.

¹ *Dancehall girl* (ang.) – dziewczyna, której zadaniem było „rozjaśnianie” wieczorów samotnych mężczyzn z miasteczek Dzikiego Zachodu w saloonie lub dancehallu; choć „szanowane” damy uważały dziewczęta z saloonu za „upadłe”, większość owych dziewcząt spałaby się ze wstydu, jeśli kojarzono by je z prawdziwymi prostytutkami.

Już miałem poddać się jej sugestii, nie bez przyjemnych doznań, gdy dziewczyna została brutalnie ode mnie oderwana przez wysokiego, ciemnego, młodego człowieka o awanturnicznym wyglądem i z pewnością pod wpływem alkoholu.

– No dalej, Ruby – powiedział zachrypłym głosem. – Po co zaczepiasz tego żółtodzioba? Mnie obiecałaś ten taniec.

I odciągnął ją, nim zdążyłem zdać sobie sprawę, że dziewczyna przyjęła to z niechęcią. Obdarzyła mnie kolejnym uśmiechem, który był, delikatnie mówiąc, uspokajający. Nie miałem nic przeciwko temu wtrąceniu się, bo tak naprawdę wolałbym nie tańczyć, ale rozwścieczyła mnie grubiańska aluzja do tego, że jestem żółtodziobem, i pomyślałem, że lepiej się stąd zabiorę. Już wychodziłem, gdy nagle coś mnie powstrzymało i powiedziałem do siebie:

– Nie, niech mnie diabli, jeśli to zrobię! Takie rzeczy się zdarzają, więc równie dobrze mogę wytrzymać i się do tego przyzwyczaić.

Przez chwilę obserwowałem graczy. Podeszło do mnie kilku mężczyzn, z pewnością nie robotników – zmierzyli mnie bystrymi spojrzeniami, będącymi w stanie przebić się przez moje ubranie aż do kieszeni. Zapytali, czy dołączę się do gry. Odmówiłem.

Zmieniłem pozycję, ustawiając się za kilkoma widzami przy stole do ruletki i przez jakiś czas nikt mnie nie zaczepiał. Potem przyglądałem się grze w pokera przy innym stole, gdzie przed każdym graczem leżały złote dwudziestodolarówki i rolki banknotów. To była poważna gra, a trzech mężczyzn siedzący z dwoma ubranymi na czarno hazardzistami z pewnością nie byli robotnikami.

Następnie moja uwaga, podobnie jak wszystkich na sali, została rozproszona przez walkę na zewnątrz, na chodniku. Słychać było głośne głosy, szuranie butów i strzał – po którym zapa-

dła cisza. Wkrótce gracze powrócili do gry, a kilku mężczyzn opuściło bar, by wyjść przez drzwi i sprawdzić, co wywołało to podekscytowanie. Dołączyłem do nich, ale nie mogłem dopatrzeć się żadnych śladów tego, co z pewnością było walką.

Najwyraźniej tego typu zamieszanie postrzegano w Gothenburgu jako coś normalnego. Równie powszechne, jak zdołałem zauważyć, było to, że większość mężczyzn nosiła przy sobie broń. Spytałem przypadkowego człowieka, czy w tym mieście są jacyś funkcjonariusze prawa, a on się tylko roześmiał. To nie było przyjemne. Zastanawiałem się, czy powinienem skorzystać z rady, którą dał mi woźnica, Hawkins, odnośnie do zakupu broni. Gdy odchodziłem właśnie od stołów do gry, zaczęło mnie trzech mężczyzn; jeden z nich był awanturnikiem, który wyrwał mi dziewczynę z ramion. Powiedział coś do osobnika stojącego w środku na temat tego, że to ja jestem „tym facetem”. Centralną postacią w danego trio był niski, prymitywny mężczyzna o wyłupiastych oczach i łypiącym spojrzeniu.

– Obcy w tych stronach, co? – zapytał. – Co cię tu sprowadza?

– To moja sprawa – odparłem krótko.

– Posłuchaj, nieznajomy, nie opląca się nowo przybyłemu, zwłaszcza żółtodziobowi, bycie niegrzecznym w tym miejscu.

– Nie chciałem być niegreczny. Odpowiedziałem ci tylko w tonie, w jakim ty zwróciłeś się do mnie.

– No, jankes wychodzi z ciebie z każdej strony, młody człowieku. A gdyby nawet nie rzucało się to w oczy, to z pewnością byśmy usłyszeli, w czym rzecz.

– To prawda, jestem jankesem – odpowiedziałem, czując, jak krew gotuje mi się w żyłach.

– Załóżmy, że to ty stawiasz drinki – zasugerował bezczelnie.

– Nie zrobię niczego takiego. Jeśli postawię drinki, to wybiorę tych, z którymi będę chciał się napić.

– Widzisz, żółtodziobie – przerwał awanturnik o śniadej twarzy. – Odbieram to jako zniewagę. A to trochę za dużo po tym, jak przystawiałeś się do mojej dziewczyny.

– Jesteś pijany albo szalony – rzuciłem gwałtownie w odpowiedzi. – Nie przystawiałem się do twojej dziewczyny.

Potem, bez dalszych, zbędnych ceregieli, uderzył mnie w twarz – i to bynajmniej nie lekko. Cios mnie zaskoczył i momentalnie rozwścieczył. Rzuciłem się do przodu i powaliłem go na podłogę. Niektórzy gracze zauważyli ten incydent, po czym powrócili do swej gry; tymczasem inni gapie zaczęli się śmiać. Obserwując kątem oka, jak mój napastnik powoli podnosi się z podłogi, dostrzegłem dwie postacie wchodzące przez drzwi i przemykające bokami. Jedna z nich była wysoka i szczupła, a druga niska, o pałkowatych nogach. Zniknęli mi z pola widzenia, ale miałem wrażenie, że zainteresowało ich moje spotkanie z tą trójką i martwiło mnie, że znaleźli się za moimi plecami. Nie mogłem się jednak odwrócić, bo mężczyzna w środku – ten, który zaczął mnie pierwszy – wyciągnął broń i trzymał ją nisko, niemal celując w moje stopy.

– Żółtodziobie, zamówisz nam drinki i trochę potańczysz.

– Nie zrobię nic z tych rzeczy, proszę pana! – wrzasnąłem do niego w odpowiedzi.

– O, tak, zrobisz. Zaczynaj robić jakieś wymyślne kroki albo mogą trafić cię w nogę.

– Idź do diabła! Czy to nie jest wolny kraj? Co z ciebie za człowiek, żeby grozić mi bronią tylko dlatego, że nie chcę się ośmieszyć?

– Tańcz, żółtodziobie! – zawył z diaboliczną radością, a jego broń plunęła czerwienią i huknęła w moje stopy.

Poczułem, jak kula muska mnie powyżej kostki. Byłem oszłamiony i nagle rozdarty pomiędzy wściekłością a przerażeniem.

Mężczyzna przyciągnął uwagę wszystkich i stało się jasne, że znów strzeli. Nie wiedziałem, co robić.

Nie miałem pojęcia, jak dalej postąpiłbym w tej sytuacji, ale oszczędzono mi podejmowania bolesnej decyzji. Usłyszałem chłodny głos, jedno dźwięczne, donośne słowo, którego w swym zdenerwowaniu nie byłem w stanie zrozumieć. Wtem za mną rozległ się ostry strzał. Zbir głośno wrzasnął i z brzękiem upuścił broń na podłogę, po czym złapał się za ramię. Zobaczyłem, jak krew tryska między jego palcami. Nagle zmienił się w innego człowieka, na jego twarzy malowało się cierpienie i skrajnego przerażenie.

Wtedy w moim polu widzenia z tej samej strony pojawiły się dwie postacie, które wcześniej dostrzegłem kątem oka. Ta wysoka trzymała w ręku dymiącą broń i robiąc krok, poruszyła nią lekko, wskazując na drzwi.

– *Hombre*¹, już drugi raz zawracasz mi dzisiaj głowę – mruknął swobodnie łagodnym i spokojnym głosem z akcentem charakterystycznym dla Południa. – Strzeż się trzeciego!

I znów dymiąca broń wykonała ten oczywisty, bardzo wyraźny ruch w stronę drzwi. Trzej *desperados*², jeśli rzeczywiście nimi byli, szybko pojęli aluzję. Jeden z nich podniósł rewolwer z podłogi i cała trójka w pośpiechu zniknęła z saloonu. A wtedy nagle ciszę na nowo przerwały dźwięki głosów i terkot koła ruletki.

Gdy napastnicy zniknęli z zasięgu wzroku, odwróciłem się, by stanąć twarzą w twarz z moim wybawcą. Chował właśnie swą długą broń, a jego osobliwie jasne oczy utkwione były w stojących przy barze mężczyznach, z których niektórzy protestowali głośno przeciwko bójce.

¹ *Hombre* (hiszp.) – człowiek.

² *Desperado* (ang.) – przestępca.

– Jestem bardzo zobowiązany, wyświadczyłeś mi wielką przysługę – wybuchnąłem, gdy odwrócił się do mnie.

Miał młodą, wciąż gładką twarz, opaloną na złoty odcień, i pomyślałem, że była niemal dziewczęca w swym niezwykłym uroku. Wtem jego towarzysz zwrócił się do mnie.

– Ten *hombre* musiał cię trafić – powiedział. – Noga trochę ci drży. Pozwolisz, że rzucę okiem.

I ukląkł na jedno kolano, żeby przesunąć dłonią po mojej lewej nodze.

– Aha, tu jest dziura w spodniach... Ale nie czuję żadnej krwi... Tylko cię drasnął. Z pewnością masz szczęście. Mógł ci rozwalić kość.

Podniósł się na nogi, a jego rumiane, pospolite oblicze rozjaśnił szeroki uśmiech.

– To chyba pierwszy raz, gdy poczułeś gorący ołów, co?

– To prawda – odparłem z wielką ulgą.

– O mały włos – ciągnął dalej. – Zazwyczaj żółtodziób musi zapłacić o wiele większą cenę, by wydostać się ze złego miejsca.

– Panowie, jestem świadomy, że żółtodziób ze mnie, to prawda, ale po prostu nie wiedziałem, jak zareagować w tej sytuacji.

– Nie poszło ci tak źle – stwierdził życzliwie mały facet. – Słuchaliśmy i przyglądaliśmy się. Dobrze przygadałeś temu nikczemnemu *hombre*, a ja zacząłem szaleć z radości, kiedy zobaczyłem, jak dostaje za swoje. Jemu się wydaje, że posiada na własność tę dziewczynę z sali tanecznej, Ruby, ale grubo się myli. Była miła dla mnie, a szczególnie miła była dla Vance’a.

– Przybyszu, może się z nami napijesz? – zapytał wysoki facet.

– Tak. Z pewnością potrzebuję kieliszka na wzmocnienie.

Poprowadził nas do baru, na jednym z jego końców klienci najwyraźniej byli gotowi do ustąpienia mu miejsca i po chwili staliśmy już naprzeciwko siebie z kieliszkami w dłoniach. Pomyślałem, że nadszedł czas, by się przedstawić.

– Nazywam się Wayne Cameron, z Bostonu. Przyjechałem tu, żeby pracować przy linii telegraficznej.

– No, Cameron, nie musiałeś nam mówić, że jesteś janke-sem – odparł ten mały ze śmiechem. – Lepiej tu tego nie robić. Mój druh, Vance Shaw, jest zatwardziałym rebeliantem, a ja pochodzę z Missouri. Ale może się dogadamy. Zupełnie zapomniałem, nazywam się Jack Lowden.

Uścisnąłem mu dłoń, a potem Shawowi. Ich uściski wydawały się podobne, ale wyraźna różnica tkwiła w samych dłoniach. Ręka Lowdena była szorstka i zrogowaciała, a jej uścisk silny i przyjazny. Shaw okazała się szczupłą i gładką, niemal jak u dziewczyny, ale miał uścisk, jakby jego dłoń była stałą pokrytą aksamitem. Następnie przystąpiliśmy do picia naszych drinków.

– Domyślam się, że jesteście kowbojami? – zapytałem.

– Aha, po prostu zwyczajnymi kowbojami, jeśli chodzi o strzelanie i jazdę na koniu.

– Pozwolicie postawić sobie jeszcze po drinku? – spytałem.

– Nie, dzięki. Jeden wystarczy – odpowiedział Shaw. – Wynośmy się stąd. Ruby mnie zauważyła i coś mi się wydaje, że zaraz się tutaj zjawi. Jeśli jeszcze raz ze mną zatańczy, będę musiał odpowiednio zająć się tym wrednym *hombre*.

– No, do diabła! – wykrzyknął Lowden. – Powinieneś być zrobić to wczoraj. Przez tego zazdrosnego kolesia chcesz dać tej dziewczynie kosza? Podobała ci się, prawda?

– Tak sędzę – odparł Shaw, zamyślony. – Bardziej niż facet powinien lubić dziewczynę z sali tanecznej. Ale ona ma dopiero szesnaście lat; jest jeszcze świeża i niewinna i żal mi jej. Mówiłem ci, Jack, nie podoba mi się ta cała sytuacja z salą taneczną. Jeśli zostanę tu dłużej... Znasz mnie, przyjacielu. Po prostu nie umiem trzymać się z dala od rzeczy.

– Może to jest taka sytuacja, od której nie powinienes trzymać się z daleka – rzekł krótko Lowden. – Chodźmy, przejdziemy się.

Wyszliśmy na zewnątrz i stanęliśmy w jasnym świetle po prawej stronie szerokich drzwi. Poprosiłem moich nowych znajomych, żeby poszli ze mną do gospody, zapalili papierosa i porozmawiali.

– Jasne, chcielibyśmy – rzekł Shaw. – Ale zostanmy tu jeszcze przez chwilę. Szukam kogoś.

– Do diabła, przyjacielu, szukasz tego *hombre* z Teksasu¹, odkąd opuściliśmy Rio Grande – odezwał się lekceważąco Lowden. – Nigdy nie natkniemy się na niego tutaj, na tym końcu świata.

Staliśmy sobie spokojnie, odprężeni, a podczas gdy moi przyjaciele kowboje bacznie przyglądali się mijającym nas przechodniom, ja wykorzystałem okazję, by obejrzeć ich sobie z zainteresowaniem, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłem, poznając kogoś.

Shaw był wysoki i szczupły, ale po bliższej obserwacji wydał mi się wspaniale zbudowanym jeźdźcem, szerokim w ramionach, wąskim w biodrach, umięśnionym, bo kiedy się poruszał, mięśnie jego ramion i nóg uwidaczniały się przez ubrania. Miał na sobie ciemnoniebieskie dżinsy, znoszone i zakurzone. Pachniał skórą, końmi i dymem papierosowym. Nosił wysokie buty na obcasie, praktycznie zużyte.

Jego pas z bronią miał ciemny kolor – z wyjątkiem miejsc, gdzie widoczne były błyszczące końcówki naboï, a futerał, również ciemny, krył wszystko z wyjątkiem czarnej kolby jego wiel-

¹ *Teksas* (ang. *Texas*) – jeden z największych stanów w USA, zarówno pod względem powierzchni, jak i liczby ludności; teren leżący na południu kraju i graniczący z czterema stanami: Nowym Meksykiem, Oklahomą, Arkansas i Luizjaną, na południu graniczy również z Meksykiem.

kiego pistoletu. Ów futerał i owa broń zwiślały niepozornie, dyskretnie, dość nisko na jego prawym biodrze i zauważyłem, że pas z bronią krzyżował się z przodu nieco poniżej paska, który podtrzymywał jego spodnie. Na koszulę miał nałożoną jakąś cienką kamizelkę, również ciemną, a jego sombrero z połamanym rondem było zakurzone i pełne dziur. To szerokie rondo nie zakrywało jednak jego jasnych, bujnych i niesfornych włosów.

Pomimo jego imponującego wyglądu to jego twarz zafascynowała mnie najbardziej. Z boku była wyraźna jak kamea¹, ciemna, chłodna, jednocześnie młodzieńcza, ale zdawało się, że w cieniu spod gładkiej skóry wylaniają zmarszczki, rysy pewnej dewastacji, spustoszenia. Co więcej, zauważyłem, że miał najbardziej niezwykle oczy, w jakie kiedykolwiek patrzyłem. Stwierdziłem, że musiał być równie wspaniały, na jakiego wyglądał, i poczułem do niego niezwykłą sympatię.

Lowden również prezentował się niesamowicie, choć w zestawieniu ze swym towarzyszem stanowił pod każdym względem ostry kontrast. Był niskiego wzrostu, silny i krzepki, z ramionami zbyt długimi w stosunku do całego ciała i nogami najwyraźniej łukowatymi od długiego siedzenia w siodle. W spoczynku jego brzydka twarz zdawała się twarda i pocięta bruzdami. Jego oczy były niebieskie i miały to samo spojrzenie, które charakteryzowało spojrzenie Shawa – tyle, że nie wyglądały na tak skupione, głębokie i zdeterminowane.

Gdy tak przyglądałem się tym ludziom Zachodu, coraz bardziej byłem zdecydowany, by spróbować się z nimi zaprzyjaźnić. Shaw milczał, podczas gdy jego towarzysz, prowadzący równie uważną obserwację, rzucał uszczypliwe uwagi na temat przechodniów. Nagle w głosie Lowdena zabrzmiało coś więcej niż tylko zwykłe zainteresowanie.

¹ *Kamea* – kamień szlachetny lub półszlachetny z wrytą na nim wypukłą płaskorzeźbą, często będącą portretem.

– Patrz, przyjacielu. Widzisz tego kowboja, co tu idzie? Ma zamiar do nas podejść. O rany, wygląda kiepsko. Obszarpany, wyczerpany, zarośnięty; spał pod gołym niebem.

Szybko zareagowałem na tak bezdyskusyjny opis osobnika. Zbliżał się do nas, początkowo niepewnie, a następnie – jakby znajdując nasze spojrzenia przychylnymi – z większą pewnością siebie. Mógł być mniej więcej w naszym wieku, ale jego wymizierowana twarz nie pozwalała na trafny osąd. Miał żywe, ciemne oczy, w których dostrzegłem cień nadziei. Zatrzymał się obok nas.

– Jak się macie, kowboje? – powiedział. – Wybaczcie moją śmiałość, ale jesteście pierwszymi przystępnymi jeźdźcami, jakich widziałem.

– A jak ty się masz? – odpowiedział dość przyjacielsko Jack. – Jasne, jesteśmy przystępni.

Shaw obrzucił pytającego uważnym spojrzeniem.

– Chciałem spytać, czy nie kupilibyście świetnego konia?

– Co jest nie tak z kowbojem, który sprzedaje swego świetnego konia? – spytał krótko Shaw.

– Co masz na myśli, człowieku? – rzucił porywczo kowboj, jakby zirytowany tą aluzją. – Długo szukałem jedzenia i uwierz mi, nieliczne obozowiska i rancza są bardzo rozproszone wzdłuż tego starego szlaku, którym przybyłem. Prawie umarłem z głodu.

– No, jest to wystarczający powód – odparł Shaw w zamyśleniu. – Nie kupimy twojego wspaniałego konia, ale dopilnujemy, żebyś się najadł. Czy to wszystko, czego szukasz?

– Dziękuję, kowboju... Dobry Boże, minęło tyle czasu, odkąd szukałem czegokolwiek innego, że zapomniałem, czego jeszcze można by szukać.

Gdy ci dwaj mężczyźni, mniej więcej tego samego wzrostu, spojrzeli sobie w oczy, Lowden zrobił krok naprzód i rzucił:

– Kowboju, powiedzmy, że mógłbyś trafić na gorszych niż my. Opowiesz nam albo nie, jak wolisz. Mój przyjaciel pochodzi z Teksasu, a ja jestem jego towarzyszem. Ten wielki chłopak z nami to jankes ze Wschodu, ale uważamy, że jest w porządku.

– Nie miałbym nic przeciwko rozmowie, jak już coś zjem i się napiję – odparł nieznajomy.

– Proszę, wybaczyć naszą tępotę. Weź te pieniądze. Tuż obok jest całkiem niezła knajpa. Idź tam i się najedz. Będziemy tu jeszcze przez chwilę. Jeśli chcesz, wróć.

Kowboj wziął pieniądze ze spojrzeniem pełnym wdzięczności; bez słowa pospieszył do drzwi restauracji i wszedł do środka.

– Vance, co o tym sądzisz? – spytał Lowden z wielkim zainteresowaniem.

– O czym? – odpowiedział pytaniem jego towarzysz.

– Ty cholerny głupcze, czy zwykła ludzka uprzejmość jest ci zupełnie obca?

– Nie, Jack, chyba nie, ale nabiera trochę gorzkiego posmaku.

– Do diabła z tobą, kłamiesz – odparł Lowden. – Cameron, co pomyślałeś o tym *hombre*, który do nas podszedł?

Zapytany, szczerze opowiedziałem o moich wrażeniach na temat tego człowieka. Lowden prychnął z zadowolenia.

– Widzisz, przyjacielu, nasz jankeski żółtodziób jest całkiem bystry. Tamten facet to dość smutny przypadek. Czy nie powiedziałbyś, że jest na bakier z prawem?

– Też mam takie przeczucie. Ten kowboj zabił kogoś nie tak dawno temu, ale nie uważałbym go za szemranego.

– Ja też nie, przyjacielu, ale musisz wiedzieć, że my, kowboje o czułych sercach, popełnialiśmy już wcześniej błędy. Jakkolwiek by było, zaryzykujmy, zaczekajmy na niego i zobaczymy, jak wypadnie.

Od tej chwili nie powiedziano już nic więcej i kowboje powrócili do obserwowania przechodniów, a ja poszedłem w ich

ślady. Miałem trudności z tym, co uważałem za racjonalne w moim stosunku do nowych towarzyszy, czasu i miejsca. Moje żywe i głębokie zainteresowanie kłóciło się z nowoangielskimi cechami, powściągliwością i rozsądkiem, ale stało się tak, jakbym nagle odkrył w sobie instynkty i uczucia, o których istnieniu nie wiedziałem. Próbowałem umiejscowić każdą pojawiającą się osobę i zidentyfikować ją jako robotnika lub hodowcę bydła, woźnicę, hazardzistę i tak dalej. Teraz nie było już tak wielu przechodniów jak wcześniejszym wieczorem.

Wkrótce wielką przyjemność sprawił mi widok zbliżających się kilku Indian. Dalecy byli od dostojnych, romantycznych jednostek, dyktowanych mi przez wyobraźnię. Ich niskie, krępe sylwetki okryte były kocami, ich czarne włosy opadały na ramiona, a ich śniade rysy twarzy okazały się interesujące, ale nieatrakcyjne. Szurali nogami obutymi w mokasyny¹, krzywymi, pałakowatymi, widocznymi pod kocami. Gdy nas mijali, Lowden mruknął pod nosem:

– Parszywe dzikusy.

Przez te pół godziny, które staliśmy w tamtym miejscu, nie zauważyłem na ulicy ani jednej kobiety. Prawdopodobnie w mieście było niewiele kobiet. Poczułem, że chcę zobaczyć raz jeszcze dziewczynę z sali tanecznej, Ruby, ale wówczas nagle w moim umyśle pojawiło się wspomnienie dziewczyny z taboru, której niezwykła twarz intrygowała mnie coraz bardziej. W tym momencie nieszczęsny kowboj wyszedł z karczmy i podszedł do nas.

– Koledzy, cieszę się, że zaczekaliście. Czuję się teraz innym człowiekiem.

– No, kiedy głodny człowiek naje się znów do syta, rzeczywiście robi to różnicę. Rozumiem to.

¹ Mokasyny – buty indiańskie; każdy wykonany z dwóch płatów jeleniej skóry.

W tym momencie zaproponowałem, żebyśmy wszyscy poszli do mojej kwatery, gdzie moglibyśmy się napić, zapalić i porozmawiać.

– Gdzie jest twój koń? – spytał Shaw kowboja.

– Zostawiłem go kawałek za miastem. Ma tam tylko skrawek trawy, ale wystarczy mu na noc. Wrócę po niego wkrótce.

Gdy szliśmy zatłoczoną ulicą do mojego zakwaterowania, skupiałem się bardziej na swoich towarzyszach niż na mijanych ludziach i otoczeniu. Duża sala w gospodzie przypominającej stodołę była wypełniona po brzegi, zabrałem więc znajomych do swych kwater. Był to duży pokój, pusty, z czterema piętrowymi pryzmami i bardzo małą liczbą mebli, a lampa dawała raczej niewystarczającą ilość światła. Powiedziałem towarzyszom, żeby się rozgościli, podczas gdy ja próbowałem znaleźć inną lampę oraz coś do picia i palenia. Właściciel oświadczył mi, że nie było nikogo, kto zająłby ten pokój oprócz mnie, a ja odparłem, że mogę poprosić moich przyjaciół, by zostali tu na noc. Wróciłem z artykułami, a nowa lampa stworzyła przyjemniejszą atmosferę, jeśli cokolwiek mogło to zrobić.

– No, koledzy – powiedziałem radośnie. – Tu jest trochę papierosów i drinków. Mam nadzieję, że się lepiej poznamy.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał sucho Lowden. – Gdybyś znał ludzi z Zachodu, wiedziałbyś, że poznaliśmy się już dawno temu.

Nawiązując przy okazji do tematu, opowiedziałem im krótko o sobie i na koniec nadmieniłem, jak bardzo się cieszę, że ich poznałem, nie wspominając już o tym, jak wdzięczny jestem za ich pomoc.

– No, Wayne – rzekł półgębkiem kowboj Shaw i uśmiechnął się po raz pierwszy. Była to rozświetlająca przemiana i zdawało się, że odsłoniła ona jego drugą naturę. – Jeśli tylko uda

mi się jakoś przełknąć fakt, że jesteś jankesem, to myślę, że będziemy świetnie się dogadywać.

– Do diabła, przyjacielu, jeszcze nie ma tu żadnej wojny – rzekł Jack Lowden – i może nigdy nie będzie.

– O, to pewnie jak sama śmierć. Gdybyś był z Teksasu, a nie z Missouri, wiedziałbyś to już dawno temu.

– Słuchaj, Shaw – przerwałem. – Zapomniałem wspomnieć w mojej krótkiej opowieści, że mój dom jest podzielony. Moja matka jest jankeską, a ojciec południowcem. Interesy trzymają go na Północy, ale jego serce zostało w ojczyźnie.

– O, cholera! – wykrzyknął Lowden. – To czyni cię na wpół rebeliantem.

– Cóż, chłopaki, to rzuca zupełnie inne światło na Camerona – rzekł Shaw. – I myślę, że będziemy się całkiem nieźle dogadywać. A teraz, Jack, powiedz mu i naszemu nowemu towarzyszowi, kim jesteśmy i co tu robimy.

– To proste – odparł Jack, wypuszczając wielką chmurę dymu. – I mogę to zrobić krótko i zwięźle. Jesteśmy po prostu dwoma nic niewartymi kowbojami z Rio Grande. Żadnych domów i żadnych krewnych, o których warto by wspomnieć; żadnych pieniędzy ani ukochanych, tylko te ubrania, które mamy na naszych grzbietach, i broń. I, nie wolno mi zapomnieć, dwa najlepsze konie, których kowboje kiedykolwiek dosiadali. W mieście zrobiło się dla nas trochę za gorąco, a ponieważ nie było tam żadnej pracy za wynagrodzenie, uznaliśmy, że dobrze będzie pojechać za żarciem na północ. Wyruszyliśmy miesiąc temu i już zdążyłem zapomnieć, co wydarzyło się po drodze. W Panhandle¹ usłyszeliśmy pogłoskę, że linia telegraficzna ma zostać poprowadzona przez równiny i jakie piekielnie wielkie będzie to zadanie, udaliśmy się zatem na północ, no i jesteśmy.

¹ *Panhandle* (z ang. *pan* „patelnia” i *handle* „uchwyt”) – **tu**: Texas Panhandle, czyli prostokątny obszar na północy stanu Teksas.

– Przyjaciele, Jack zawsze potrafił sprytnie pomijać pewne rzeczy – przerwał Shaw. – Powinien był wspomnieć, że musieliśmy uciekać z Teksasu. A wszystko, co zrobiliśmy, to zastrzelenie kilku złych *hombres*, którzy mieli wielu groźnych krewnych.

– Jak długo tu już jesteście, Vance, i co wiecie o tej robocie w Western Union? – spytałem.

– Jesteśmy tu dopiero od kilku dni, ale to wystarczająco długo, żeby zdrzeć z paroma niebezpiecznymi *hombres* z powodu tamtej dziewczyny, Ruby. I żeby dowiedzieć się, że położenie linii telegraficznej przebiję każdą umowę, jaką kiedykolwiek zawarto na Zachodzie, jeśli uda się zrealizować to zadanie. Widziałem tego człowieka, Creightona. Słyszałem, jak przemawiał. I stwierdzam, że brzmiał przekonująco. Creighton jest bardzo ważny i wpływowy. Jest typem człowieka, za którym ludzie poszliby w ogień.

– Też tak pomyślałem – odpowiedziałem. – Może wszyscy znajdziemy u niego pracę.

– To będzie proste – dodał Jack. – Słyszeliśmy, że Creighton ma problem ze znalezieniem ludzi, a jeszcze większy z ich zatrzymaniem. Mam wątpliwości co do Vance’a i mnie. Po prostu nienawidzimy pracy, to znaczy kopania dziur pod płoty, pracy na stojąco, na obolałych stopach, cięcia i piłowania drewna i tym podobnych.

– Nie martw się, przyjacielu – rzekł Vance. – Creighton nigdy nie zbuduje tej linii bez jeźdźców, myśliwych i pogromców Indian. I tu właśnie kwalifikujemy się my i mogę szybko mu to uświadomić.

– To znaczy, że jest nas trzech – powiedziałem i spojrzałem pytająco na czwartego członka naszej grupy.

Siedział trochę z tyłu i nie włączył się do naszej rozmowy. W tym momencie wstał i podszedł do światła. Jego ruchy były

niespokojne i nerwowe, a jego wychudzona twarz zdradzała poruszenie. Moim zdaniem byłby przystojnym facetem, gdyby pozbył się tej brody, a ślady podróży, kłopotów i niedoli zniknęły z jego twarzy. Popatrzył na nas uważnie ciemnymi oczami, jakby chciał pokazać, że może stanąć twarzą w twarz z każdym. To jego spojrzenie spotęgowało moje współczucie i zrozumienie.

– Towarzysze – zaczął ochrypłym głosem – zadaliście mi cios poniżej pasa. Miałem przecucie od momentu, kiedy was poznałem, ale nie wiem, czy powinienem się przyznać... czy jechać dalej.

– Kowboju, powiedz nam albo nie, jak chcesz – odezwał się Shaw. – Myślę, że mogę przemówić w imieniu Camerona i mojego druha, Jacka, i oczywiście w swoim własnym. Przyłącz się do nas i pomóżmy temu wielkiemu facetowi Creightonowi pokonać to diabelstwo, z którym się zmaga.

– Jestem bardzo wdzięczny, Shaw – odpowiedział kowboj niepewnie, walcząc z emocjami. Widziałem, jak jego twarz się zmienia, a gardło zaciska. – Tego się obawiałem. Jestem tak cholernie zniszczony, że nie mam odporności na kilka dobrych słów. Mój Boże, jak ja bym chciał się do was przyłączyć...! Gdybym się tylko odważył...

– Myślę, że miałeś przecucie, którego akurat potrzebowałeś – przerwał Shaw donośnym głosem, a to, jak przy tym wyglądał, sprawiło, że przez chwilę poczułem, jak by to było mieć go za przyjaciela.

– Spójrzcie na to – powiedział kowboj niemal gwałtownie.

Stanąwszy przed nami w świetle lampy, zrzucił swój płaszcz, rozpiął poszarpaną i brudną koszulę i odrzucił ją jednym szybkim ruchem. Zaprezentował wspaniałe mięśnie, ale był zbyt chudy, jak na swój wzrost. Potem, ze smutnym i zawstydzonym spojrzeniem, zachrypniętym z emocji głosem dodał:

– To nie takie łatwe.

Obracając się raptownie, pokazał nam swoje plecy. Były jedną masą czarnych i obrzmiałych śladów po uderzeniach oraz skaleczeń, niektórych jeszcze niezagojonych. Wstrząśnięty gwałtownie nabrałem powietrza – uświadomiłem sobie, że ten młody człowiek został dotkliwie przez kogoś pobity i że wstyd oraz powód tego zdarzenia musiały być przyczyną niedoli, o której opowiadał. Utkwiłem wzrok w tych wielkich, rozległych pasach, z których niektóre były tak opuchnięte, że odstawały co najmniej na cal¹ od jego pleców. Nikt z nas się nie odezwał. Tymczasem on odwrócił się z głębokim westchnieniem i szybko założył z powrotem koszulę.

– Do diabła, człowieku! – wykrzyknął Jack niemal piskliwym głosem. – Nic dziwnego, że kiepsko się prezentowałeś. Jak, do cholery, mamy cię zapytać, skąd to masz?

– Kowboju, powieszenie nie mogłoby być gorsze – dodał Shaw przejmująco.

Pytania cisnęły mi się na usta, ale nie mogłem wykrztusić ani jednego z nich.

– Chłopaki, cieszę się, że miałem odwagę, żeby wam to pokazać – odezwał się kowboj z ulgą. – I widzę po waszych twarzach, że po prostu zakładacie, że na to nie zasłużyłem, bo inaczej nie pozwoliłbym wam tego zobaczyć.

– Tak mi się wydaje – rzekł Lowden. – Ale, do cholery, kolego, nigdy byś nam tego nie pokazał, gdybyś nie miał zamiaru o tym opowiedzieć.

– Pewnie tak – przyznał kowboj. – Ale nie wiedziałem tego od razu. Odczuwam jednak straszną ulgę, gdy o tym mówię. Czasem myślałem, że wykituję, jeśli wszystkiego z siebie nie

¹ Cal (ang. *inch*) – inaczej cal angielski; jednostka miary długości stosowana w systemie anglosaskim, równa 1/12 stopy, czyli 2,54 cm; szeroko używana w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i innych krajach.

wyrzucę. Teraz to zrobię, a potem zobaczymy. Sądzę, że powinienem jechać najdalej, jak tylko się da. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale chciałbym zatrzymać się gdzieś, gdzie mógłbym znów pracować, jeść i spać.

– Cóż, to, co nam do tej pory pokazałeś i powiedziałeś, sprawia, że jeszcze bardziej niż wcześniej chcę, żebyś tu z nami został – powiedział szczerze Shaw.

– Czterysta czy pięćset mil to długa droga w tym kraju. Może to wystarczająco daleko, by poczuć się bezpiecznie – odparł kowboj. – Może okazałem się tchórzem, jadąc tak daleko... W porządku. Słuchajcie. Założę się, że wy, Teksasńczycy, nigdy nie słyszeliście jeszcze czegoś takiego. Nazywam się Darnell. Zaledwie od kilku lat mieszkam w Wyoming¹, u źródła rzeki Sweetwater, w zachodniej części tego terytorium. Najlepsze pastwisko dla bydła na całym Zachodzie... i to słynące z wydobycia złota miasteczko South Pass, o którym na pewno słyszeliście i które stało się ostatnio najbogatszym, najdzikszy i najkrwawszym miastem w historii... Opowiem wam o tym wszystkim później. Pasma przy Sweetwater zostało najpierw zaludnione przez pionierów z taboru; dostrzegli jego możliwości i osiedli tam, by je rozwijać. Za nimi podążyli hodowcy bydła i ranczerzy, aż pasmo Sweetwater zostało zajęte na odcinku stu mil. Dopiero co się wzbogacili, ale ten kraj dalej będzie tak zasobny w bydło, jak South Pass w złoto. Wśród tych hodowców był tylko jeden Teksasńczyk, o którym wiem. To dobry ranczer, ale surowy dla kowbojów i myślę, że w wojnie, która toczy się między kowbojami i hodowcami bydła, zostanie zastrzelony. W Sweetwater dopiero co zaczęli działać złodzieje bydła. Ich grabieże okazały się tam wielką sprawą, ale stanie się to nieprędko. Co ważne,

¹ Wyoming – stan w zachodnich Stanach Zjednoczonych, znany z pięknych krajobrazów, rozległych terenów górskich i niskiej gęstości zaludnienia.

wszyscy znani mi kowboje kradli *mavericks*¹. To zły nawyk, rozjuszal hodowców bydła najbardziej, a ja zostałem schwytany na gorącym uczynku. Uwięzili mnie i trzymali związanego i zamkniętego przez wiele dni. Nie miałem nic do jedzenia prócz chleba i wody. Nie chciałem im wyjawić tego, co chcieli wiedzieć, bo wiązało się to z honorem kobiety. W końcu dwaj szefowie ekip do bydła na naszym pastwisku zabrali mnie nocą między wierzby przy rzece, związali i rozebrali. Rozpalili ognisko, żeby móc lepiej widzieć. Przynajmniej sześciu mężczyzn, których zatrudniono do brudnej roboty, miało założone maski; nie odzywali się, więc ich nie rozpoznałem, ale ci dwaj ranczerzy nie zakryli twarzy. Rozciągnęli mi ramiona linami i stwierdzili, że jeśli nie powiem im tego, co chcą wiedzieć, to zatłuką mnie na śmierć. Zaśmiałem się im w twarz i ich skląłem. Potem mnie zbili. Bił mnie jeden człowiek po drugim, aż grube na cal wierzbowe witki połamały im się w rękach, ale nie puściłem pary z ust. Zrobili przerwę w biciu i dali mi kolejną szansę na skamlenie. Wszystko, co z siebie wyrzuciłem, było obietnicą, że jak Bóg mi świadkiem, zabiję tych dwóch hodowców bydła. Potem znówu mnie bili, aż moja krew obryzgała ich twarze, aż w końcu zaczęli mieć dosyć i przestali. Zostałem zabrany z powrotem do piwnicy, gdzie mnie przetrzymywali, i trzy dni później uciekłem. Ukradłem konia i wyjechałem na nim na oklep z doliny do South Pass. Było rano, kiedy tam dotarłem. Ludzie widzieli, jak jechałem przez miasto z moimi krwawiącymi plecami niczym z czerwonym sztandarem. Wpadłem na dwóch znajomych kowbojów, a oni pożyczili mi broń i ubrania, które mam ze sobą. I powiedzieli mi, że w mieście odbywa się akurat zjazd hodowców bydła. Spytałem, czy byli na nim ci dwaj ranczerzy, których po-przysiągłem zabić. Byli. Kowboje powiedzieli, gdzie mam jechać,

¹ *Maverick* (ang.) – nieoznakowane ciele; roczniak.

i życzyli mi szczęścia. Ruszyłem w stronę miasteczka, rozpedziłem tłum przed wejściem i wpadłem do środka, żeby zabić tych dwóch hodowców. Nie musiałem wiele, ale moje czyny były wystarczające. Zabiłem ich obu i wyjechałem z miasta, i od tamtej pory jadę. Nigdy bym się nie zatrzymał, gdyby nie chodziło o mojego konia. Zapomniałem wspomnieć, że ci dwaj kowboje dali mi siodło. Nie wiem, ile minęło dni od czasu, gdy opuściłem South Pass, ale mógłbym wam powiedzieć, ile razy coś jadłem... Oto moja historia, koledzy, i przysięgam, że to prawda.

Po chwili głębokiej ciszy Vance Shaw odezwał się chłodno i spokojnie:

– Uważam, że trzeba się napić.

Posłuchaliśmy jego sugestii i sytuacja wydała się znośniejsza.

Lowden rzekł:

– Równie mocno jak drinka, potrzebuję świeżego powietrza. Darnell, co powiesz na to, że wyjdę z tobą i obejrzę twojego konia? Jest tu stajnia, którą można wynająć, a ten koń z pewnością zasługuje na to, żeby się porządnie najeść i odpocząć.

– O tak – odpowiedział Darnell. – Zapomniałem o nim. Chętnie. Możesz tak zrobić.

Wtedy odezwałem się ja.

– Są tu cztery łózka. Może zostanieie tu wszyscy, albo chociaż niektórzy z was, dziś na noc?

Wszyscy dość chętnie się zgodzili i poczułem zadowolenie. Shaw i ja wyszliśmy na ulicę i patrzyliśmy, jak Lowden z Darnellem znikają nam z oczu. Potem wróciliśmy do mojego pokoju.

– Wiedziałem, że coś strasznego spotkało tego kowboja – rzekł Shaw, zamyślony. – Nigdy jeszcze nie widziałem tylu siniaków i śladów od uderzeń u jednego człowieka. Musiał wiele wycierpieć. Również psychicznie. Kowboje to zabawne stworzenia. Może byś w to nie uwierzył, ale mają swą dumę i ducha.

I nie czekając na mój komentarz, mówił dalej:

– Jeśli uda nam się sprawić, by ten facet został tu z nami, wyświadczymy mu przysługę, a może i sobie samym. Zbyt długo był samotny. Wstydził się wrażenia, iż wszyscy są przeciwko niemu.

– Coś mnie zastanawia. Oczywiście nie rozumiem zachodnich spraw. Powiedział, że został przyłapany na kradzieży... Co on powiedział? Czego?

– *Mavericks*. To nieoznakowane cieleta, które możesz znaleźć na pastwisku. A jeśli znajdziesz takie bez matki i sam się nim zajmiesz, nie kradniesz. My, kowboje, nigdy nie uważamy, że chwytanie *mavericks* dla siebie to kradzież.

– Ale żeby tak go zbić! Powiedział, że nie chciał kogoś wydać, że chodziło o honor kobiety. Co o tym sądzisz?

– Bóg jeden wie. Jeszcze nie mam zdania na ten temat, ale mam za to przecucie, że w Sweetwater Valley panuje piekielny chaos, a my wpadniemy w sam jego środek. Droga jednak jeszcze długa. Może tak długo nie przetrwamy.

– Przetrwamy – odparłem zdecydowanie. – Mam prorocze przekonanie, coś, co wy, przyjaciele, nazywacie przecuciem. Myślę, że to przetrwamy.

– No, tak trzymać – odpowiedział Shaw. – Widzę, że próbujesz skrócić papierosa w kowbojskim stylu. Wyszło okropnie. Pokażę ci, jak to się robi. Jeśli jest coś, co wyróżnia żółtodzioba, to sposób, w jaki skręca papierosa.

Potem Shaw zaczął poważnie i z mozołem uczyć mnie sztuki skręcania papierosa lewą ręką. Pochlebiałem sobie, że nie jestem wcale taki niezręczny, ale zmarnowałem tuzin papierosów, nim w końcu załapałem sztuczkę. Kowboj był na tyle uprzejmy, by stwierdzić, że się nadaję. Zadawałem mnóstwo pytań o prace budowlane i na większość z nich był w stanie mi odpowiedzieć. I wkrótce powrócił Jack Lowden z Darnellem.

– Słuchaj, przyjacielu – wyrzucił z siebie Jack – ten poga-
niacz krów z Wyoming ma konia równie dobrego jak mój i zało-
żę się, że da twojemu Range’owi nieźle popalić.

– Jack, zwariowałeś? Range to najlepszy koń na równinach –
powiedział stanowczo Shaw. – Przyprowadziłeś go do miasta?

– Zostawiliśmy go tutaj w stodole – odpowiedział Darnell –
i uwierz mi, Wingfoot¹ zachowywał się tak, jakby to doceniał.

– Wingfoot? To dość pochlebne imię. No, zobaczymy.

– Uhm – mruknął Darnell. – Nie mam zamiaru ryzykować,
że Wingfoot zostanie pokonany, nie mówiąc już o wszczynaniu
kłótni z wami, chłopaki.

Shaw szybko na to zareagował.

– Myślisz o dołączeniu do nas?

– Byłbym głupcem, gdybym tego nie zrobił.

– Słuchaj, przyjacielu, co twoim zdaniem mu powiedziałem,
żeby go przekonać? – spytał Jack, promieniejąc.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Założę się, że znowu coś
nawymyślałeś.

– Powiedziałem mu, że nie można jechać w nieskończoność.
Powiedziałem mu, że gdyby to ciebie tak pobito, zostałbyś tam
i zabił wszystkich tych cholernych facetów. Powiedziałem mu, że
naturalnym biegiem wydarzeń jest to, że musi stawić czoło pro-
blemom. No, jest tu trzech kumpli gotowych do niego dołączyć.
Powiedziałem mu coś o naszym żółtodziobie, że przyłożył face-
towi. Powiedziałem mu, że ja jestem cholernie przydatnym czło-
wiekiem, którego dobrze mieć pod ręką w czasie walki. W końcu
powiedziałem mu, że jesteś najzręczniejszym człowiekiem no-
szącym broń i najlepszym strzelcem, jaki kiedykolwiek pocho-
dził z Teksasu.

¹ *Wingfoot* (z ang. *wing* „skrzydło” i *foot* „stopa”) – miano odnoszące się dosłownie do posiadania uskrzydłonych stóp lub do bycia szybkim i zwinnym, jak mityczna po-
stać greckiego Hermesa (w mitologii rzymskiej Merkurego), który nosił uskrzydlo-
ne sandały, symbolizujące m.in. wolność.

– No, to wszystko? – wycodził sucho Shaw. – Bałem się, że możesz trochę przesadzić.

Nawet poważny wyraz twarzy Darnella uległ zmianie.

– Chłopaki, dołączam do was i przysięgam na Boga, że tego nie pożałujecie.

– Zaryzykujemy – odpowiedział Shaw z jeszcze jednym z tych swoich inspirujących uśmiechów. – A teraz wszyscy kładźmy się spać. Jesteśmy zmęczeni, a Darnell ledwo stoi na nogach. Jutro będzie kolejny dzień pełen wrażeń.

Niewiele więcej zostało po tym powiedziane. Nim zgasły obie lampy zaobserwowałem, że przygotowania kowbojów do snu polegały tylko na zdjęciu butów i ostróg. Ja jednak, zgodnie ze starym zwyczajem, rozebrałem się i zdmuchnąwszy ostatnią lampę, wpelzłem do swego łóżka pomiędzy koce. Ledwie rozciągnąłem się wygodnie, a już dokonałem niezwykłego odkrycia, że ci trzej kowboje zdążyli zasnąć. Leżeli jak kłody, oddychając wolno i regularnie. Lowden zaczął trochę chrapać. Ale ja byłem zbyt podekscytowany, by spać.

Leżałem tam w chłodnej ciemności, umoszczony wygodnie, było mi ciepło pod kocami, i przysłuchiwałem się dochodzącym z zewnątrz słabym dźwiękom. Teraz, gdy w pokoju zapadła cisza, mogłem usłyszeć brzęk monet i kieliszków, grzechot koła ruletki, gwar głosów, między którymi można było rozróżnić cichy, słodki śmiech kobiety. To skierowało moje rozbiegane myśli na inny tor.

W swych kalkulacjach związanych z przyszłym, zachodnim życiem pomiąłem zupełnie kobiety, ale nie dało się tego uniknąć. Było coś fascynującego w tej dziewczynie z sali tanecznej, Ruby. Nie chodziło o to, że była taka młoda i ładna. To musiało mieć związek z tym, że wydawała się nieszczęśliwa i niemoralna. Potem pomyślałem o dziewczynie z taboru i przypomniałem

sobie jej uważne spojrzenie, jej falujące, kasztanowe włosy, ruch ręki, gdy do mnie zamachała, i postanowiłem, że jeśli kiedykolwiek uda mi się ją jeszcze spotkać, to właśnie ona zostanie tą jedyną.

Trudno mi było uświadomić sobie, że moja obecność w tym miejscu jest rzeczywistością – teraz i tutaj, na Dzikim Zachodzie, kiedy jestem już zaznajomiony z awanturniczymi charakterami, a wkrótce mam spotkać Indian i bizony; gdzie moja odwaga zostanie wystawiona na próbę. Pomyślałem o moich trzech towarzyszach śpiących tam, w ciemności.

Ja byłem mieszkańcem Nowej Anglii, człowiekiem z dobrze sytuowanej rodziny, o religijnych zasadach, i nie mogłem powstrzymać wzdrygnięcia się na myśl o tak szybkim zaprzyjaźnieniu się z ludźmi, którzy zabili jakiegokolwiek człowieka. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę zmuszony kogoś zastrzelić. Doświadczenie z sali tanecznej pokazało mi, że nie musiałbym posunąć się dużo dalej w gwałtownym gniewie, gdy uderzyłem tamtego zbira. Wtedy zdałem sobie sprawę, że mężczyźni i kobiety, których tu spotkałem, stworzą odpowiednią sytuację. Będzie potrzeba większej przyjaźni, silniejszych więzi i uwolnienia stłumionego ducha.

Zamierzałem przekonać się i zatrzymać tych trzech kowbojów bez względu na cenę. Przyrzekłem sobie, że będę spodziewał się różnych rzeczy i postaram się być na nie przygotowany. I w końcu, gdy moje powieki się zamknęły i ogarnęła mnie senność, rozmywające się myśli zlały się w jedno ze snem.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!